

Władysław Suproń „Mucha”.

Ochronę majora stanowiła żandarmeria „Juranda”. Później, żeby nie brzmiało to tak groźnie, to zmienili nazwę. To był tzw. pluton ochronny, natomiast patrol „Beczki” to był patrol dyspozycyjny i podlegał bezpośrednio majorowi//. Krążyły rozmaite wersje, że sam major chciał go tam... Tak tylko obilo się to o moje uszy. „P-8” najpierw był u mnie w kompanii, a potem w I kompanii u por. „Groma”, albo odwrotnie//. Wszystkich było łącznie około 200 ludzi. Często te stany ulegały zmianie, bo przychodzili ludzie na przeszkolenie, a później odchodzili na inny teren. Za Suprasłem stała I kompania por. „Groma”. Czasami przychodziła do nas. Przełom czerwca i lipca to był taki okres, kiedy część niespalonych ludzi przeniesiono do siatki. Czasy były dość ciężkie, bo w Choroszczy stała cała dywizja Rokossowskiego, do Białegostoku ściągnęli pułk KBW, UB już umocniło się. Z zaopatrzeniem było ciężko.

Jak nasi złapali złodzieja, zaprowadzili do sołtysa i tam postanowili, że zawiozą go na UB. A tam złodziej podpisał współpracę i znowu wracał na ten teren. Zdarzały się więc wypadki, że tego samego złodzieja znowu nasi złapali. Pracował już dla nich z odwagą [dla UB] i rabował z odwagą, a UB go popierało.

Na „Wyspie Konrada” staliśmy raczej cały czas. Nie zmienialiśmy tego miejsca. Czuliśmy się pewnie, bo byliśmy obstawieni ubezpieczeniami, niezależnie od tego byliśmy obstawieni przez „siatkę” w Ogólach, w Czarnej Wsi Kościelnej (prawie cała wieś była w AK), Karczmisku, Kopisku innych wsiach.

Plan działania to był taki, że mamy walczyć dalej a w bardzo szybkiej przyszłości zmienimy sposób walki: z walki zbrojnej na walkę polityczną. Już wtedy o tym się mówiło. To zrozumiałe, przecież ze wszystkich stron byliśmy okrążeni. Nie słyszałem, żeby tam major mówił coś o III wojnie. Oczywiście każdy jeden z nas myślał, żeby to przyszła ta III wojna, ale żeby specjalnie coś takiego, to nie przypominam sobie. Mieliśmy ścisły rozkaz, żeby żeby nie wchodzić w kontakty ogniowe z wojskami ruskimi, chyba że zajdzie taka potrzeba, że we własnej obronie trzeba stawać. Mieliśmy kilka takich drobnych potyczek. W Kopisku rozbroiliśmy oddział wojska. W lesie gdzieś leśniczówka leżała - już nie pamiętam gdzie - to byłem wtedy z kompanio, to jakieś chyba 10-15 samochodów ruskich przejeżdżało. Puściliśmy je, ale niedaleko ujechali, bo zauważyli nas i zaczęli po nas strzelać. No to my po nich. Nie wiem jakie u nich były straty. My nie mieliśmy żadnych strat. To trwało bardzo krótko. Oni zaraz uciekli na tych samochodach.

Poza tem kolejną przechodziły rozmaite transporty ruskie - nie ruszaliśmy ich.

8 lipca 1945 r. to była niedziela. Czekaliśmy na zamówioną wcześniej mszę polową. Miał ją odprawić ks. Saracen z Czarnej Wsi Kościelnej//. Też w kryminale siedział. Msza miała się odbyć po sumie w kościele w Czarnej Wsi Kościelnej, tzn. między g. 12 a 13. Przedtem więc wybudowaliśmy ołtarz polowy, tam gdzie miała odbyć się ta msza. Ludzie przyszykowały się do mszy, to guziki przyszywali, inni odpoczywali. Jak zwykle wystawione były patrole ubezpieczające, które podlegały mi. Przy jednym z nich pasły się nasze konie. Była ciepła pogoda poszliśmy więc do „Trzech Źródeł”, żeby ludzie się umyli. Gdy wróciliśmy zaczęli się przebierać i szykować do tej mszy. Oczywiście ubezpieczeni byliśmy, żadnej „chmurki” znikąd nie widać było. Ci co paśli konie przybiegło do obozu i mówią, że zobaczyli, że do lasu jakieś wojsko wchodzi z tamtej strony. To nie było na co czekać. Zarządzono alarm. To wszystko błyskawicznie trwało i zaraz otworzyli ogień. Otrzymałem wtedy od „Jura” rozkaz, żeby rozwinąć się na tych pozycjach, na których stacjonowałem. Nastąpiła między nami strzelanina. W lesie jaka strzelanina jest - to nie jest na otwartym polu. Tam człowiek nie widzi. Za drzewo się chowa i nie widzi, czy to drzewo czy to człowiek. O ile sobie przypominam to ta utarczka trwała około 2 godzin. „Jurand” był ma lewym skrzydle mojej kompanii (plecami byliśmy do północy czyli do nieprzyjaciela).

Nie obserwowałem co się działo wokół moich sąsiadów w tym czasie. W późniejszym czasie dotarł do mnie rozkaz, że musimy się wycofywać, bo nie możemy ludzi narażać, przecież nieprzyjaciel był o wiele silniejszy liczebnie i zbrojnie. O ile sobie przypominam, to w akcji tej po ich stronie brał udział pułk KBW-UB, batalion ruski i bateria moździerzy. W lesie to straszna broń.

Najpierw - bez żadnych trudności - wycofał się inspektorat a potem i my zaczęliśmy wycofywać się

w kierunku północnym. Oczywiście nasze szyki pomieszały się. Nie wiem dlaczego ten rozkaz nie dotarł do „Juranda”, bo przecież on ubezpieczał „Inspektorat”. Roztrzępani, rozbici wycofaliśmy się na bagna. Całe nasze obozowisko zajął nieprzyjaciel. Mieliśmy ze trzech zabitych. Leżą tam gdzie ma stać pomnik. Trochę rannych też mieliśmy. Ile miał nieprzyjaciel zabitych to nie wiem. Na rozprawie to słyszałem, że było ich 8 czy 9 zabitych plus 2 oficerów: Oksanicz i jeszcze jeden.

Po takim chrzcie to byliśmy na wpół rozbici prawie. Trzeba było się pozbierać, rannych opatrzyć. Po 2 - 3 dniach nastąpiła zbiórka rozproszonych oddziałów. Gdzieś tam w północnych miejscowościach.

W tym czasie to nie było żadnej mowy, żeby my naszymi siłami mogli prowadzić jakąś walkę. W międzyczasie, wieczorem, to ja byłem daleko już stamtąd z częścią swoich ludzi (bo w tym starciu trochę dostałem po „kulach”, bo moja kompania była narażona na pierwszy ogień) i widzimy łunę nad lasem gdzieś w kierunku Ogół. Nie jestem pewny, ale potem mówili, że por. „Jur” z grupą uderzył tam, bo tam stali ich wozy, artyleria. Więc on uderzył tam, spalił im 2 samochody (o ile się nie mylę, takie wiadomości do mnie dotarły) i trochę naszych ludzi wziętych do niewoli odbił. Kilku naszych ludzi jednak zabrali i - jak do mnie doszła wiadomość - to zrobili samosąd na terenie koszar. Na tym kończy się to co pamiętam na temat tej bitwy.

Dla mjr. „Jerzego” mam wielki szacunek. To był człowiek prawy, bardzo uczuciowy, starał się, żeby było sprawiedliwie. Nie mówiąc o tym, że był na prawdę dobrym patriotą, obywatelem. Trudno powiedzieć jaki był stosunek szeregowych żołnierzy do niego, bo chyba mało z nimi prowadził rozmów, ale my na odprawach stykaliśmy się z nim często i stąd mam dla niego wielki szacunek.

Jak ja byłem w obozie [na „Wyspie Konrada”] to on cały czas tam był. „Jur” też był. No, w tej chwili to trudno mi powiedzieć, ale może dzień-dwa może gdzieś tam... . Tak chyba było, że jak „Jura” nie było w obozie to przejmowałem dowództwo. „Jur” to też był bardzo porządny facet, bardzo lubiany. Żartobliwy, taki rubaszny. Nie zauważyłem wtedy, żeby pomiędzy majorem a „Jurem” były jakieś różnice zdań.

Odprawy odbywały się przeważnie u majora. Brali w nich udział dowódcy poszczególnych pododdziałów, dowódcy kompanii z „siatki”, szefowie łączności jak np. Stasia „Zemsta”, jeżeli odprawa była w szerszym zakresie to i dowódcy patroli specjalnych//. Z racji terenu na którym przebywałem to miałem kontakt z dowódcą kompanii, który mieszkał w Czarnej Wsi i nazywał się Sosnowski a miał ps. „Zygmunt”//. Jeśli chodzi o buty to miałem u siebie, w kompanii, szewca który naprawiał je. Poza tym z butami było różnie tak jak z jedzeniem. Zdobywało się je. Bywały wypadki, że przy okazji likwidacji jakiegoś szpicla itd. to się zabierało.

Gdy „Jerzy” poszedł na Prusy to zostałem na tych terenach, żeby szykować się do rozwiązania oddziałów. Ze mną było kilkudziesięciu ludzi. Ponieważ znałem kolejarzy to gdzieś w połowie lipca skontaktowałem się z naczelnikiem oddziału PKP w Białymstoku Kowalskim//. I on skombinował mi dokumenty, że moja grupa jako kolejarze jedziemy do Olsztyna jako oddelegowani. W międzyczasie zamelinowałem broń w rzeczce. Oczywiście wcześniej uzyskałem zwolnienie od „Jerzego”. Tych listów do mjr. „Jerzego” co zachowały się w UOP-ie nie przypominam sobie, ale skoro są, to pewnie było tak jak w nich pisze o tej dezercji niektórych żołnierzy itd. W tej mojej grupie był m.in. i ten Hilary Hryncyszyn//. Niektórzy od razu w Białymstoku powiedzieli, że pójdą na własną rękę pójdą szukać... . I tak to się rozeszło, a ja z częścią ludzi wyjechaliśmy aż do Olsztyna. Tam przydzielony zostałem do Elku. Niepotrzebnie, bo za bardzo blisko a Hilary trafił do Nidzicy czy gdzieś, a później był w Starych Jabłonkach zawiadowcą stacji. Obaj byliśmy fachowcami z kolejnictwa.

Był taki „Oracz”. Nazywał się Potyrała//. Zastępca inspektora. W początkach 1946 r. zgłosił się do mnie w Elku osobiście. On zawsze chodził z workiem na plecach, w takich chłopskich butach, w fufajce, w cyklistówce. To był konspirator z urodzenia. Znałem go, bo przecież jako zastępca „Jerzego” często przebywał na „Wyspie Konrada”.

Jak rozwiązaliśmy oddziały to był wydany taki rozkaz, żeby nie prowadzić na własną rękę walki. Kategoriecznie zabrania się i dowódcom i szeregowym. Czekać mieliśmy na rozkaz. No i „Oracz” przywiózł nowe instrukcje. W tym czasie oddziały zbrojne poakowskie przechodziły na WiN. Ja otrzymałem od niego polecenie, żeby przystąpić do organizacji powiatu Ełk. Przez niego zostałem wyznaczony na prezesa tego obwodu. Niestety, niewiele mogłem zrobić, bo 3 czerwca 1946 r. o godz. 2 czy 3 nad ranem zostałem aresztowany. Wzięli mnie z domu. Mieszkałem wtedy przy ul. Elizy Orzeszkowej chyba nr 10. Może to mało ważne jest, nie chcę nikogo oskarżać, ale parę dni przedtem spotkałem znajomego z konspiracji. Muszę tu trochę cofnąć się w czasie, by dokładniej opisać.

W 1946 r. została otwarta linia kolejowa z Ełku do Grajewa, bo na Osowcu były zerwane mosty i od końca wojny ta linia była nieczynna. W tym czasie byłem dyspozytorem ruchu na stacji Korsze, gdzie dojeżdżałem z Ełku. Tam, na Prusy, jak wspominałem pojechało ze mną kilku kolegów. M.in. dyżurnym ruchu w Skandali (Skandala jest za stacją Korsze jak jedzie się na Litwę, na Istenburg) był brat „Konrada”//.

- No to pojedziemy do Grajewa. Zobaczymy jak tam jest. - Zadecydowaliśmy. Przyjechaliśmy i idziemy do jakiejś restauracji coś zjeść. Jeszcze jaki dziś pamiętam nad wejściem wisiał szyld o treści: Restauracja. Właściciel Flugrat. Wchodzimy do tej restauracji i kogo tam spotykamy? Tutaj [w białostockim] jak jadąc koleją do Czarnej Wsi, zaraz za Czarnym Blokiem jest kolonia. Mieszkała tam rodzina Kamińskich//. To był dom konspiracyjny, bo tam zawsze jakichś rannych opatrywali itd. No, pewni ludzie jednym słowem. Były tam 2 czy 3 siostry, jedna była młodą panną. Był tam też taki Roman Kamiński (nie mylić z moim śledczym)//. No i wchodzę do tej restauracji, a tam siedzi ten Kamiński [ale nie Roman], zobaczył mnie i woła:

- Aaaa, panie poruczniku, jak dobrze.

- Ja nie jestem żaden porucznik - mówię - Jestem prywatna osoba. No i ja jak dobry głąb, głupiec, powiedziałem gdzie mieszkam. Po co to było?

- Oni tak się poświęcali - mówi do mnie jeden o tych Kamińskich - to najlepiej pan wie. Ile myśmy w to włożyli... itd. - a tu ktoś tam do nich przyszedł i zarzuty stawiał itd., że oni musieli się stamtąd wynieść. Dzisiaj to ja myślę, dlaczego się oni stamtąd wynieśli, bo przecież mieli tam gospodarkę. Oczywiście spytałem więc, gdzie jest Roman.

- A gdzieś tu jest. - Padła jakaś taka niewyraźna odpowiedź. Nie trzeba było długo czekać i po paru dniach zjawia się u mnie w domu Roman. Zrobiłem „wielkie oczy”, że taki nieproszony gość... . Myślę, co on tu tego a on zaczyna mnie coś tam nawijać, że jest nadal konspiracja i trzeba działać, ale odpowiedziałem:

- Chłopie, to mnie nic nie interesuje, bo ja z tym wszystkim zerwałem i nic nie mam do czynienia.

- A u mnie w tym czasie w komórce na drzewo leżał stos winowskich instrukcji i jeszcze rewolwer, który też dla mnie przyniósł „Oracz”. Coś mnie Pan Bóg, albo siła wyższa podpowiedziała:

- Ty chłopie zniszcz to - i tego samego dnia albo na drugi dzień zrobiłem to. Do ubikacji wrzuciłem, czy co. No, podejrzewałem, że to on mógł mnie „liznąć”, ale nie jestem pewny, nie chcę nikogo skrzywdzić.

3 czy 4 dni później pojechałem do Białegostoku, a w tym czasie do mego mieszkania było włamanie. Okazało się, że to było UB. No i po powrocie, po wizycie Romana, aresztowali mnie.

W pierwszej kolejności zabrali mnie na UB w Ełku. Urząd mieścił się w budynku przy moście na Armii Radzieckiej. W tym samym budynku w czasie wojny mieściło się SS. Zaczęli mnie tłuc. Jak zaraz tylko wprowadzali mnie na schody to trzepnął mnie 2 razy w twarz szef urzędu ppor. Szczawiński, który wcześniej był komendantem posterunku w Jaświłach, ale że go naganiali [z partyzantki] to uciekł do UB i zrobili go tym szefem//. Jako że jestem trochę pyskаты (język miałem długi i byłem dość krnąbrny od samych młodych lat) to jak mnie uderzył, to spytałem:

- Gdzie ja jestem? Za co mnie tak bijesz?

- Patrz, on się pyta gdzie on jest? - powiedział drugi i lu mnie drugi raz po czym wyjaśnił:



- W Urzędzie Bezpieczeństwa jesteś.

- Aaaa - zrozumiałem. Zaprowadzili na piętro i zaraz z miejsca zaczęło się. Był tam taki śledczy-mordobijec, nazywał się Paweł Nalewajko//. Ktoś mnie mówił, że go w końcu kropnęli. Znałem go jeszcze jako młody chłopak, bo ja zaczynałem pracę na kolei jako młody kancelista u zawiadowcy w Waliłach obok Gródka, a Nalewajko był synem bogatego gospodarza z Gródka. Nie wiem czy on mnie poznał czy nie poznał. To był Białorus jakiś tam. I on najwięcej:

- Dawaj członków, dawaj członków. - Zorientowałem się, że nic nie mieli. Jak nieraz przypomnę sobie, to oni takimi tumanami byli, że coś straszego. Jeden z drugim miał napisane na kartce: Urzędowi Bezpieczeństwa w Ełku dokładnie wiadome - i na tym się kończyło. Jak dokładnie, to po co tłuczesz. Był jeszcze drugi śledczy. Nazywał się Szostak//. To zaraza taka. Krzywą mordę miał taką. To ci dwaj mnie oprawiali, a Kamiński to troszkę pisać umiał. Co ciekawego, to to, że żona tego ubeka Kamińskiego - nazywała się Roma (od Romualda) - i była w organizacji. I ja o tym wiedziałem poprzez moich ludzi, no a jej mąż był śledczym. Jak przypuszczam to ta Roma powiadomiła Hilarego Hryncyszyna i on zwiął.

No i ci dwaj: Nalewajko i Szostak zaczęli mnie tłuc. Tłuc niesamowicie. Wyciorem od karabinu - to strasznie boli - rozmaicie. Wtedy zorientowałem się, że niewiele wiedzą o mnie. Najpierw chodziło im, żeby dać im członków. Nikogo nie dostali. Jednego takiego podejrzewali (Stasio Jelski), to poszli do niego, ale on już dał drapakę//. O tym - oczywiście - to dowiedziałem się już po wielu latach. Był też taki major - jakiś Ukrainiec. Mówił do mnie tak po ojcowsku:

- Ty skaży, aruzije gdzie, aruzije gdzie? - Jak mówiłem do niego:

- Panie poruczniku... - To odpowiadał:

- Nie wiem co ten obywatel mówi, proszę mnie przetłumaczyć. - Jak mnie przetłumaczyli, to ja równie dobrze mogłem rozmawiać po chińsku.

Rozmaite głupstwa im płotłem, łąłem jak najęty na wszystkie sposoby, żeby jak najwięcej odciągnąć ludziom, żeby mieli się na baczości, bo już parę osób zwerbowałem, już były zarisy organizacyjne WiN-u na moim terenie. Mnie na daniu czasu tym ludziom zależało bardzo. Kręciłem, kręciłem ale jakoś przy Bożej pomocy... .

No i tłukli mnie cały dzień. Rozmaite sztuczki stosowali. Później już mnie tak nogi odbili, że nie mogłem stać, to jak do celi to ciągnęli mnie po schodach z drugiego piętra. Wrzucili do ciemniej piwnicy. Śmierdziało, bo to wilgotne było. Nogi wyciągnąłem. Od razu obrzękły mi, do buta nie mogłem włożyć. Po chwili zorientowałem się, że jeszcze ktoś tu jest.

- Panie, za co pana aresztowali - spytał przestraszony, a ja już wiedziałem, że w więzieniach są kapusie. Co ja tam będę mówić - pomyślałem - może zresztą to dobry człowiek.

- Bo ja byłem organizatorem - wyjaśnił ku memu zdziwieniu. I na tym był koniec. Od razu wyczułem, że był to jakiś niesamowity prostak, ciemniak. Organizatorem, ale nie wiadomo czego to mnie nic nie mówiło.

- Ja mam wyjść z więzienia, może coś rodzinie przekazać? - Gadał tak gadał i mnie denerwował.

- Nie widzę chłopie jak wyglądasz - powiedziałem w końcu - ale jak nie przestaniesz mnie indagować to tak cię zorganizuje, że ty świata nie zobaczysz. - I przestał. Cały dzień leżałem. Na drugi dzień wzięli mnie na górę znów. I to samo było. Taboret postawili na podłodze do góry nogami i na nodze kazali siedzieć. Tak trzymali mnie tam całą noc. Co gorsza, że ten śledczy siedząc przy biurku dali mnie słonego sledzia zjeść. Na biurku stała woda, w której maczał ołówek i tym ołówkiem pstrykał wodą mi na nos. Po tym śledziu wręcz paliło mnie.

No łąłem im niesamowicie. Skaż mnie panie Boże za te kłamstwa, ale niesamowicie łąłem. Jak tylko mogłem. W życiu chyba żadnej pani tak nie łąłem jak tam. Na noc znowu do tej jamy wciągnęli. Wrzucili do środka. Patrząc: „organizatora” już nie ma. Na drugi dzień dali do jedzenia taką rybę, co ma

dużo ości. Okoń nie okoń. Na trzeci dzień znów na noc bioro, bo jak brali wieczorem to dopiero aż rano kończyli. Szczawiński mówi:

- Może ja chcę iść na spacer? - Coś mnie to się nie podobało, bo wiadomo jak oni robili. Mnie to było znane. Zastrzelo a potem powiedz, że uciekał.

- Jak ja pójde na spacer, jak ja na nogach nie mogę stać? - Poszeptali coś, poszeptali jeden z drugim i na tym się skończyło. I ten major Ukrainiec już więcej nie pokazywał się.

Na trzecią czy czwartą noc znowu zaprowadzili mnie na górę, na 3 piętro. Przyjechał wtedy jakiś ruski kapitan z NKWD. Jak oni mnie wzięli w obroty a ten jak zaczął mnie kłąć, tak jak to oni potrafią. W końcu powiedział:

- Nie musisz mówić. Wystarczy tego co wiemy, żeby ciebie skazać na karę śmierci, ale my nie będziemy ciebie sądzić. Zastrzelimy jak psa a w protokóle napiszemy, że uciekał.

- Oooo - myślę sobie - to może tu być takie coś. - No kłął mnie cały czas. Już w życiu nie słyszałem takich obelg jak on, taka mać, a taka mać. Co on mnie tam dał, niech go szlag trafi.

- Na pewno to był członek organizacji - powiedział o tym co im uciekł. A to był Stasio Jelski. - Dlaczego on uciekł? Dlaczego on uciekł?! - krzyczał.

- Ja nie wiem. Nie wiem dlaczego ludzie uciekają. - Odpowiedziałem.

W tym czasie w Elku zabili sekretarza propagandy PPR-u. Ja go nie znałem, a to było drugi czy trzeci dzień po moim aresztowaniu i ci do mnie:

- Kto sekretarza zabił?! Kto!!? Kto zabił?! Ty zabiłeś?!

- Ja! - odkrzyknąłem. Oni patrzą. To mnie znowu w obroty.

- Ludzie kochani, kiedy go zabili? - pytam się.

- Przedwczoraj.

- Toż dwa dni przed jego zabójstwem mnie aresztowaliście. To co chcecie? - Dali mnie spokoju? A skąd. Dostałem tak samo za niego jak nie wiadomo co.

Na UB w Elku nie przyznałem się im, że byłem nawet dowódcą kompanii. Ja im powiedziałem na początku, że będąc na urlopie zostałem rozbrojony i uprowadzony i co robiłem? W kuchni [partyzanckiej] kartofle obierałem. I uwierzyli mi w to w Elku.

Byłem w mundurze kolejowym. Ręce miałem związane drutem kolczastym, pokaleczyli mi je. Nogi miałem poodbijane, że podeszwy napuchły mi [jak banie]. Rzucili mnie na ciężarówkę. Leżałem twarzą do podłogi. Dookoła siedzieli ze skierowanymi we mnie pepeszami, i ci moi oprawcy: Kamiński, Szczawiński//. I przywieźli do Białegostoku. Człowiek związany drutem i jeszcze jego się bać? Przywieźli mnie do Urzędu Wojewódzkiego [WUBP], który mieścił się na Mickiewicza, zdaje się w dawnym przedwojennym gimnazjum żeńskim, handlowe było czy coś takiego.

Tylko mnie tam przywieźli i spotykam jednego ze swoich bliskich znajomych - Kociołkowskiego//. Wszedł z laską do pokoju. Za czasów niemieckich był dyżurnym ruchu na Fabrycznym [stacja: Białystok Fabryczny]. Jeszcze w 1944 r. razem pracowaliśmy. Mówili, że jest pochodzenia żydowskiego w którejś tam linii. Poznał mnie, bo to przecież było tylko parę lat po okupacji no i mówi:

- Uuu, to w niedobrym miejscu my się spotykamy.

- No dobrze. Nie wiem jak ciebie tytułować, naczelnikiem, kierownikiem, ale mam jedną prośbę: jestem taki zбитy, chciałbym żeby gdzieś jakoś cele, żeby ja mógł leżeć.

No, zaprowadzili do aresztu i mówi do profosa, żeby dać jakoś cele.

- Chyba swoich ludzi wyproszę a jemu dam łóżko? - burknął profos. - Dali mnie celę, gdzie prycza była drewniana. Nogi mi tak nabrzękły, że jak przebiłem sobie gwoździem podeszwę, to ropa płynęła ze stóp. Gdyby to w normalnych warunkach było, to zakażenie by było, bo gwóźdź pokryty był rdzą.

Trzymali mnie tam ze 2 tygodnie. Na drugi dzień po przywiezieniu wziął mnie na górę sierżant podchorąży.

- Czy będzie mnie pan przesłuchiwał?

- Tak, będę was przesłuchiwać - odpowiedział.

- Panie podchorąży, ale ja jestem oficerem, a pan jest tylko podchorążym. - Na to on poszedł i na drugi, trzeci, dzień przyszedł inny, ale już po cywilnemu. Ten pochodził podobno z Sokółki. Nazywał się Bobik, Babik?// Zachowywał się w bardzo grzecznym sposób. Popatrzył na mnie, wziął z biurka papiery i mówi:

- Tak, wujek, to można było tych nieuków w powiatówce (w Elku) [robić w konia], ale nie nas, Trzeba mówić prawdę - i pokazuje dowody [meldunki moje i „Jerzego”]. Oooo, panie, już nie ma co - pomyślałem - no to dawaj od nowa. Śledczy pokazał mi pisemko, ale nie dał mi go przeczytać, że niby Roman Kamiński (ten mój współpracownik z Elku, mieszkał na kol. Zawaly nie Zawaly?) złożył zeznanie, że był szeregowcem w mojej kompanii itd., no wiele mi nie zaszkodził//. Z drugiej strony - myślę sobie - oni takimi byli głupcami. Gdyby tam było napisane, że on im powiedział, że był w mojej kompanii i ja byłem dowódcą, no to oni mieli by to [jak mieli mnie w Elku], a tak z tymi kartoflami [obieraniem kartofli w obozie partyzancki] do Białegostoku przyjechałem. Do dzisiejszego dnia nie wiem skąd oni mieli moje meldunki, bo to przecież było w Inspektoracie [u „Jerzego”]. Tam m.in. i „Juranda” papierki były. No i znowu trzeba było zeznawać.

- Gdzie broń. Oddajcie broń - to tamto.

- Broń w strumyku została złożona. - No to któregoś dnia biorą mnie, ubierają w wojskowy płaszcz, ręce wiążą mi kablem i wsadzają na samochód, ruski. Było na nim ze 30-tu. Za nami jechał jeszcze jeden samochód. Zawieźli mnie nad ten strumyk, nad bagienko. Tam chodzą, tymi dłutami szperają, szperają.

- Niet, niczewo. Niet, niczewo. - Żeby choć jedna sztuka była na usprawiedliwienie, po co mnie tu przywieźli, a tu nic. Posadzili mnie pod drzewem, stali koło mnie a reszta szukała. Ruscy bardzo grzecznie się ze mną obchodzili. Wsadzili mnie spowrotem do samochodu i wracamy. Jadę z tym całym Tadkiem Kociołkowskim, a on był kierownikiem sekcji do walki z bandytyzmem politycznym.

U nich [w UB] doradcą był Rykow, wysoki, przystojny facet. Słyszałem od księdza [Litwiejki], że go kropnęli. Po polsku ani w ząb. Mnie to nie przeszkadza, bo ja znam rosyjski//. Podjechaliśmy do bramy, Rykow [wysiadł z samochodu i] stuka do bramy. Wartownik popatrzył przez okienko, jakoś obawiał się otwierać aż Kociołkowski skoczył do niego [zdenerwowany], a Rykow mówi do niego:

- To takich ludzi trzeba wynagradzać, a nie ty krzyczysz na nich.

No i tam zaprowadzili mnie do pokoju śledczego i przyprowadzili „Jerzego”.

- Dzień dobry.

- Dzień dobry. - Przywitaliśmy się.

- I pana aresztowali - powiedział „Jerzy”.

- No, mnie, tego... - I oni dawaj mówić o tej broni. I „Jerzy” mówi, że tam ta broń zamelinowana, i ja od razu w te pędy, że to jest moja [broń], ale widzę z rozmowy, że oni tej broni co to Brzozówce, w rzece, schowaliśmy, to oni nic nie wiedzą o tym. Może ta broń do dzisiejszego dnia tam leży. Kto wie. Więc ja widzę, że to dla mnie byłoby pomocne. Rozmawialiśmy może 10-15 minut. To nie była żadna konfrontacja, ani nic. „Jerzy” nie był ani załamany, ani też w specjalnie wiesielczym nastroju, ani żeby mu wesoło było. On zawsze był takiej pogodnej twarzy, więc nie wyczułem, żeby był tak bardzo załamany. Nasza rozmowa dotyczyła tylko tej broni, chodziło o dokładne ustalenie miejsca, gdzie ta broń była złożona. No, potwierdziłem, że tam ją złożyłem i na tym się skończyło. Trwała może 10 minut. [Dzięki temu] mnie z magazynu broni nie oskarżano. Okazało się, że to co major powiedział przedtem, to oni już stamtąd broń zabrali.

- To już ta broń zabrana. Nie ma co tam szukać - powiedział Kociołkowski.



Stamtąd zaraz odwieźli mnie do więzienia. Siedziałem na dole w jakiejś celi. Kilkunastu nas tam było.

Pewnego dnia wzywają mnie na górę. Przychodzi po mnie taki w mundurze francuskim, w stopniu podporucznika. R nie wymawiał. Nazywał się Jan Zyskin//. Zaczął mnie przesłuchiwać, trochę tam poindyczył się, poskakał, ale mnie nie ruszył, nic. Zresztą, jak byłem na UB w Białymstoku po przyjeździe z Elku, to nikt mnie od tej pory jeszcze palcem nie ruszył. A teraz ten Zyskin. Jeden dzień, drugi dzień, trzeci - nie ma go. Później patrzę: na korytarzu kible nosi.

- To pan porucznik też tutaj? - spytałem się zdziwiony.

- Tutaj - odpowiedział. Jak mówili, to podobno komuś depozyt „zachylił”.

Po nim przyszedł jakiś inny. Jak się nazywał, to nie wiem. Trochę do żydka był podobny. Wziął mnie na górę, na pojedynek - bo tam przesłuchiwali - i co parę minut jak nie z lewej, to z prawej strony. Tak mnie złał, że jak przyszedłem na celę, to miałem twarz opuchniętą. Z nim był jeszcze jeden taki podobny do takiego co na kolei ze mną pracował. Jak mu powiedziałem, że go przypominam sobie, to nie przyznał się do tego. Może i on nie był tym nastawniczym.

To była moja ostatnia rozmowa ze śledczymi. Dostałem jeszcze takie zawiadomienie [o zakończeniu śledztwa]. Spytałem, czy jeszcze będę przesłuchiwany.

- Nie, już śledztwa zakończyliśmy - odpowiedział. Okazało się, że w tym czasie w lipcu szykowali proces „Jerzego” w przedwojennym kinie „Świt”. Bodajże 5 lipca wpadł „Jurand”//. No i nas szykowali do tego procesu. Później mnie śledczy powiedział:

- Nie ciesz się, że ty mniejszy rangą i stanowiskiem od „Jerzego” to dostaniesz mniejszy wyrok. - Ja byłem dowódcą kompanii, „Jurand” dowódcą plutonu, to nam wypadał najmniejszy wyrok. - Specjalnie zrobi się dla was oddzielną sprawę tłumaczył ubek - bo wy macie dużo pomieszane z wojskiem, i z tym...  
. I tak, i tak was nie minie.

W końcu „Jurandowi” zakończyli śledztwo i w końcu września podpisali akt oskarżenia. Siedzę i czekam na sprawę.

Po zakończeniu sprawy siedziałem z „Jurandem” razem na jednej celi. Duża cela - nr 49, na 1 piętrze. Na celi było chyba ze 40 osób. W nocy nie można było położyć się spać. W tej celi był m.in. Pierzchała, który teraz jest w Związku Żołnierzy AK//. Był też taki Stasio Bniński - oficer zawodowy 9 psk. Chyba zmarł//.

Warunki w więzieniu były bardzo podłe. Strażnicy odnosili się do nas paskudnie. Przeważnie byli to Białorusini, takie chłopki-roztropki o najniższym poziomie myślenia jeżeli wogóle potrafili myśleć. Było szereg kapusi, szczególnie z UB, ci którzy siedzieli za machlojki, to ich specjalnie brali. Taki był Edek z UB w Łomży, to podobno niejednemu tam lanie sprawił w obecności strażnika//. Miał takie powiedzenie:

- Ty ch... na kaczych nogach. - Ja jakoś przez ten cały okres śledztwa na UB i pobytu w więzieniu w Białymstoku nie zostałem skrzywdzony przez nikogo, ale wielu innych to tak.

30 listopada wezwali nas na korytarz i zaprowadzili do administracyjnego budynku na sąd. Sąd nad naszymi duszami trwał wszystkiego może 2 godziny. To co pisze w akcie oskarżenia, że byłem przez 28 godzin w niewoli niemieckiej to nie prawda. To był sąd kapturowy, który nic nie dochodził. To co tam jest - mój rok urodzenia, imię ojca to wszystko nie prawda. Jak byłem teraz w Warszawie to sprostowałem. Pod koniec odsiadki wyroku jak występowałem do naczelnika więzienia, żeby mnie pozwolił to sprostować, to mi odpowiedzieli, że jak wyjdę na wolność, to wtedy, a tutaj to nie przeszkadza.

Składowi sędziowskiemu przewodniczył kapitan Wróblewski, jeden z sędziów na imię miał Chaceton, to żydowskie imię Chackiel, był więc Żydem. Nazwisko miał Linig. Prokurator nazywał się Witold Grodziński - żydzisko psiakrew, ja nie jestem antysemitą, ale rudzielec taki był. Mnie pytań żadnych nie dawał, ani nic, tylko po zakończeniu powiedział:

- Akt oskarżenia w całej rozciągłości popieram. Dla oskarżonego Supronia Władysława żądam kary śmierci i dla Górskiego to samo. - I na tym wszystko zakończyło się. Dostałem 5-krotną karę śmierci, a Górski zdaje się miał 3-krotną. Obaj mieliśmy art. 104 - zdrada stanu, a reszta artykułów była z mkk, który kary te zwielokrotniał.

Wyprowadzili nas na korytarz, zabrali nam manele (miski itp.). Pytają się:

- Jak tam?

- Nooo, czapa. - Jak prowadzili mnie do celi śmierci, to poznał mnie taki Sawicki, przodownik więzienia//. Znałem go jako młodego chłopaka. Pochodził z terenów Gródka białostockiego, bo w młodym wieku dużo pracowałem na stacji w Waliłach.

- Co, kara śmierci? - spytał.

- No, tak. - I wtedy odpowiedział mi tak, że do dziś to pamiętam:

- Już tobie dawno się należało. - Nie wiem dlaczego tak mnie..., bo go specjalnie nie znałem.

No i potem wsadzili nas na pojedynek na II oddziale. Z początku nie chciało mi się wierzyć, że to prawda, jakoś tak nie przemawiało mi to do świadomości [że zostałem skazany na karę śmierci]. Po jakimś czasie to myśmy sobie mówili:

- To niemożliwe, żeby tak od razu skazywali wszystkich na karę śmierci [i wykonywali te wyroki]. To niemożliwe, na pewno wywiozą do Rosji na kopalnię węgla. To były takie nasze mrzonki, naiwne, młodzieńcze rozważania.

W późniejszym czasie dostałem paczkę, w której była puszka z mlekiem. Gdy otworzyliśmy ją, to okazało się, że zawiera ona nie mleko a spirytus. Spirytus był oczywiście wyrobu czarnowiejskiego [Czarna Wieś] lub z okolic. Strażnik to nic nie zorientował się. Zresztą, najbardziej mnie denerwował, jak przechodząc z drugim pod naszą celą mówił zawsze do niego:

- Ooo, tych to nie ułaskawia, na pewno nie ułaskawia. - Cholera panie.

Dużo modliliśmy się, szczególnie ja. Modliłem się gorąco, jak tylko umiałem. Wierzę, że nic innego, tylko ta moja wiara mnie uratowała. W tej celi trzymali nas ok. 6 tygodni, do 15 stycznia. Otwierają się drzwi celi i stanął w nich szef administracji więziennej ppor. Janczewski (w późniejszym czasie został aresztowany i popełnił samobójstwo w więzieniu)//. Od razu zrobiło mi się nieswojo.

- No, teraz to już żegnać się trzeba - przemknęło mi przez głowę. Zaczął czytać, że prezydent Rzeczypospolitej ułaskawił mnie. Zrobiło mi się gorąco i zimno. To samo Górskiemu. Zamienili na dożywotnie więzienie. No, chwała Bogu. I wtedy zabrali nas stamtąd. A był tam wtedy jeszcze w naszej celi (bo siedzieliśmy we trzech) taki Czesław Skwarek albo Skwarko z Goniądza//. Młody chłopak, miał chyba 18 lat. Skazany był na ks. Później doszła mnie wiadomość, że miał on umrzeć w więzieniu w Rawiczu, ale jak rozmawiałem z Jakubem Górskim, to mówił mi, że spotkał go po wyjściu z więzienia. To co Jakub mówił o tym sznurze, to nie pamiętam tego, ale skoro on tak mówi, to tak pewnie musiało być.

Po przeczytaniu decyzji o ułaskawieniu nas Janczewski zabrał na z powrotem na celę ogólną, na której byliśmy wcześniej. Rysiek Pierzchała jeszcze tam był. Pamiętam, że byli też: inż. Strumajer, Gienek Zalewski - akowiec z Białegostoku, oficer rezerwy//.

Był rok 1947 r. i dosyć głośno było o amnestii. Liczyliśmy na tą amnestię. Dochodziły też do nas wiadomości, że tu i ówdzie oddział odbił sądzonych, np. w Sokółce. Cały czas takie plotki dochodziły. Przyszła amnestia i ja z Górskim otrzymaliśmy zawiadomienia, że nas amnestia nie objęła, ponieważ byliśmy wojskowymi, pozatym art. 104, m.in. z którego byliśmy osądzeni na karę śmierci, nigdy nie podlegał żadnej amnestii. No i klops. Nic nie skorzystaliśmy na tej amnestii.

W czerwcu nas zapakowali do wagonów (chyba na Towarowej w Białymstoku nas załadowali). Przez kratkę w oknie widziałem, że na polach wszystko jest zielone, rzepaki, nie rzepaki. Musiał to być więc czerwiec. Zawieźli nas do Rawicza. Przyjechaliśmy w nocy.

Rawicz kiedyś składał się z trzech pawilonów, ale jeden został spalony. Szliśmy ze stacji chyba czwórkami. Dookoła obstawili nas bagnietami. Na pierwszym podwórzu, za pierwszą bramą, była część



administracyjna, gdzie urzędowali ci wszyscy oprawcy. Za drugą bramą był plac i na lewo pierwszy pawilon (biały), a na prawo drugi pawilon (czerwony). Przed pawilonem rosły buraki. Dalej była kuchnia, stolarnia. Część sotlarni była jeszcze w białym pawilonie nad karcerami. Utkwiło mi w pamięci jak przywitał nas naczelnik. Nazywał się Kazimierz Szymonowicz//. Też żydowskiego pochodzenia.

- Przyjechaliście tutaj, żeby się wykończyć - powiedział do nas - ale was tu nikt nie będzie szkodować. - Nie użył takiego wyrazu: żałować, tylko: szkodować. No i wzięli i porozsadzali nas. Jak byliśmy w Białymstoku, to taka wersja krążyła, że w Rawiczu to są inne warunki zupełnie, lepsze oczywiście.

Trafiłem na biały pawilon, na pojedynek na IV oddziale. Do celi nr 114 wsadzili nas chyba trzech. Oczywiście: czystość inna. Podłogi były drewniane. Wszystkie klamki, wszystkie gwoździe w drzwiach błyszcząły wyczyszczone na glans, oczywiście przez tych, którzy tam siedzieli.

Był tam taki strażnik, który nazywał się Majcher//. Podobny był do małpy. Później zmarł. W Hiszpanii w więzieniu siedział. Był w tych „dąbrowszczakach”. Jak miał służbę, to zawsze rano krzyczał:

- Wstawajcie złodzieje!. - Był taki nienajgorszy człowiek. - Co to za porządki - denerwował się - Jak u Franka siedzieliśmy to nam wino dawali - opowiadał.

Okno mojej celi wychodziło na ich szpital, akurat na kostnicę. Obok był III oddział. Na oknach zawieszono były kosze, popularnie zwane: „blindy”.

Na tej celi, na IV piętrze, siedziałem dosyć długo sam. Łącznie sam siedziałem w Rawiczu przeszło 2 lata. Oczywiście nie tylko w tej jednej celi. Co jakiś czas zmieniałem je. Poza tym co jakiś czas na 2-3 dni dawali mnie do celi, gdzie było już 2-3 siedzieli, a tam na pewno już był kapuś. Potrzymani mnie tam 2-3 dni i znów na kilka miesięcy do izolatki. Jak mi potem opowiadali i podsłuchałem od strażnika, to tam były podobno trzy kategorie więźniów: niebezpieczny, przeciętny i bardzo niebezpieczny czy coś takiego. Ja chyba należałem do tej trzeciej grupy.

Przez 6 i pół roku siedziałem na tym „białym” pawilonie. Byłem w różnych celach. Na celę jak kapusia wsadzali to zaraz wszystkich przeganiali z miejsca na miejsce.

Oczywiście na izolatce nie było żadnej pracy ani książek. Broń Boże. Powtarzałem sobie w myślach różne rzeczy. Dużo się modliłem. To mnie dużo dało, jakoś tak pocieszało. Sam siebie pocieszałem. Niektóre sprawy z przeszłości rozważałem raz jeszcze. Przeprowadziłem taką osobistą analizę swojej przeszłości. Wszystkie jakieś nieprawości, bądź też jakieś inne niedorzeczne momenty w życiu przypominałem sobie. Biczowałem siebie na wszystkie strony jak się dało tylko. Oczywiście w pamięci. Spowiadałem się sam przed sobą. Wtedy jeszcze nie obawiałem się obłędu. Dopiero w późniejszym czasie było mnie ciężko.

W międzyczasie trafiłem na II oddział. Tam już byłem na betonie. Jakoś dowiedziałem się, że gdzieś tu siedzi Pużak//. Widziałem go na spacerze. To staruszek był. W końcu przenieśli mnie na IV oddział. Tam już było nas 3. Przez pewien okres czasu - gdzieś w 1949 r. - siedziałem z komendantem okręgu białostockiego AK płk. Słomkiewiczem-Liniarskim//. To był człowiek skryty, zamknięty w sobie. Siedział i patrzył się w okno.

- Co pan tak siedzi? - spytałem się.

- Bo ja lubię przyrodę - odparł zrezygnowany. I na tym rozmowa urwała się. To był prawdopodobnie czas kiedy prawdopodobnie przeżywał dwie sprawy: swoją i to, że żonę mu „trzepnęli”. Żadnych rozmów nie prowadził, ja zresztą też nie dążyłem do tego, bo ktoś mi powiedział o tej sprawie z jego żoną. Siedziałem z nim może ze 2 tygodnie, gdy celę „rozpirzyli”.

Po jednej z wielu przerzutek na jednej z cel, była taka duża, było nas chyba z 12-tu. I był taki Kosiński z Warszawy//. Taki sobie elegancki chłop. Mówił, że jest akowcem, śpiewał akowskie piosenki. Zdekonspirował się w ten sposób, że jak dawali jedzenie, to zawsze dostawał „pajkę” chleba (400 gram) Był też taki fajny chłopak spod Bielska Podlaskiego - Brzozowski ze wsi Burchaty//. Taki sobie chłopaczek, sprawiał wrażenie dość rozgarniętego. Przychodzi noc - spaliśmy koło Kosińskiego - i słyszę jak rozma-

wiają. Miałem już kilkuletni staż więc wiedziałem po co te przerzutki robią. Potem do Brzozowskiego mówię:

- Co ty tam z nim rozmawiałeś?

- No, tak tam, o sprawie.

- No to pięknie trafiłeś na dobrego słuchacza. Bądź przygotowany... Przychodzi nowy dzień a Kosiński zaczyna jęczeć:

- Ojej, ojej - tak go zęby bołą. „Klapę” spuszcza, że do dentysty. Poszedł do dentysty, zaraz wrócił (przyniósł jak zwykle „pajkę” chleba) i zabrał ciuchy.

- No to teraz bądź przygotowany - powiedziałem do Brzozowskiego. I tego samego dnia nas „rozpirzyli” wszystkich [po różnych celach]. Nie wiem co stało się z tym chłopaczkiem Brzozowskim, a ten Kosiński - jak się okazało - to był - jak to się popularnie mówi - „foks”.

W Rawiczu to nas specjalnie wykańczali psychicznie, mieszała, bo wsadzili esesmana i jak ktoś rozmawiał, to zawsze „stawiał w poprzek”. Był taki Prus - był żandarmem w Łapach//. Po polsku mówił z mazurskim akcentem. Kogoś zastrzelił i za to go zamknęli. No to jak mówiliśmy o Oświęcimiu, to mówił, że to nie prawda, nie było takiego czegoś. Prosto w oczy, to przecież to jest prowokacja. Ktoś mógłby nie wytrzymać nerwowo, bo wszyscy byliśmy już nerwowo wykończeni, bo każdy miał już parę lat więziennego stażu.

Na początku karmili nas burakami pastewnymi, które rosły pod pawilonem. W tych burakach była niesamowita ilość robactwa. Jak ziemniaka znalazło się kawałek [w zupie] to było wielkie święto, a tak to tylko kawałeczek tego buraka, liście i robaków pełno. Tego nie myli wcale.

Któregoś razu dali nam do zjedzenia zupę ze zgnitej kapusty. Może z pół pawilonu zachorowało na biegunkę, m.in. i ja. Szpitalik był nieduży. Chorych było tak dużo, że leżeliśmy na korytarzach. Mieliliśmy takiego lekarza, który nazywał się Durczewski//. Prawdopodobnie był lekarzem w tym więzieniu jeszcze za czasów przedwojennych, niemieckich i teraz. Tak mówili. Taki nieciekawny człowiek. Jak coś do niego się mówiło, to tylko zabelkotał:

- Mu, mu, mu - i na tym koniec. Było nawet takie powiedzonko. Więzień opowiada:

- Przychodzi (doktor) na kuchnię i pyta się:

- Co to tak śmierdzi?

- To kapusta panie doktorze.

- Aaaa, to kapustka tak pachnie. - To taki dowcip o nim istniał, ale czy tak było to ja nie wiem.

To było chyba w 1948 r. To był najgorszy czas, najgorzej cisnęli, bo to „zimna wojna”, później most powietrzny z Niemcami. Przez cały czas nie mieliśmy żadnych gazet. Mieli je tylko funkcyjni. W krótszym skrzydle bloku mieścili się krawcy, szewcy, stolarze. A u nas IV oddział to były pojedynki, III w połowie pojedynki. W tych celach siedziało się albo pojedynczo, albo po 8-9.

Po tym zatruciu w szpitalu leżałem ze dwa tygodnie. Jedzenie było trochę lepsze, może trochę czyściej zrobione. Zreszta w tym czasie buraki się skończyły i tyle tych robaków nie było. Tu, w szpitalu, czasami gazety dochodziły, a tak to widzieliśmy je tylko wtedy gdy dawali je nam do kubła, do kibla, porwane. Wtedy składało się je i czytało.

Jak wróciłem ze szpitala to jakoś tak popadło, że wróciłem do celi, gdzie było nas trzech. Tu znowu było tak, że zgniętą kapustę ugotowali z dorszem. Po jakimś czasie poczułem silne bóle brzucha, wymioty itd. W tym czasie przydzielili do więzienia lekarzy wojskowych. No i przyszedł taki lekarz w mundurze - por. Szymański//. Złota dusza, porządny człowiek. Przyszedł i od razu do wszystkich zaczął podchodzić jak lekarz. Do tego nawet stopnia, że jak zobaczył więźnia, to pr pan się zwracał. Szybko go jednak ukrócili. Później mi opowiadali, że on chciał całe więzienie przebadać, zrobić takie gremialne badanie. No, to mu się nie udało. Gdy i mnie rozboleł żołądek i zaczęły się wymioty wezwali tego lekarza. Przyszedł, popatrzył i powiedział:

- Weźmiemy do szpitala na obserwację. - To już było święto. Wzięli mnie do szpitala (w Rawiczu) i zaczęli mnie leczyć. Było tam dwóch lekarzy więźniów: (wojskowy) Plutecki i drugi przyjeżdżał z Poznania - major Wiktorowicz//. Zrobili mi prześwietlenie i zauważyli zwężenie opuszki. To jest dość taka, nie śmiertelna co prawda, ale poważna choroba. Dostałem dietę i w szpitalu byłem jeszcze 3 tygodnie. Ktos tam pokazał mi Pużaka. Leżał właśnie w szpitalu. To był staruszek, w okularach. Na spacer go wypuszczali. Na pojedynkach jak wychodziliśmy na spacer to nie wolno było żadnych rozmów prowadzić, a na korytarzu trzeba było stawać po ludzku - twarzą do ściany: nosem opierać się na ścianie, a ręce do tyłu. Pamiętam takie wydarzenie z nim. Któregoś razu przewrócił się na schodach, te okulary spadły mu. Później zmarł. Nie pamiętam kiedy to było, w każdym bądź razie przed 1950 r.

W tym czasie przyszedł doktor Szymański i widziałem, że chce mi pomóc. Okazało się, że był synem naczelnika stacji z Przemysła. Tak powiedział przynajmniej. To był złoty człowiek. Każdemu starał się pomóc. Na to władze, te same „mordobijce” - jak ich nazywałem - to patrzyli na to nie bardzo przychylnie. Jak opowiadano mi to nieraz go wzywano, że on za bardzo liberalnie podchodzi do więźniów, że to są przecież przestępcy itd. Miał powiedzieć, że dla niego to są pacjenci.

W tym czasie byłem już nerwowo wykończony i byłem bliski obłądu. Już za bardzo nie byłem tym kim jestem. Zrobiłem przegląd całego życia, zeszło mi na tym 2 lata. Byłem pusty człowiek, ani książki, ani gazety. Chyba to dzięki temu doktorowi Szymańskiemu przenieśli mnie na ogólną celę, gdzie już było po 8-12 osób. Jestem mu bardzo wdzięczny za to, [bo w ten sposób ocalił mnie od obłądu]. W celi najgorsze to były „kipisze”. Robili je co 2, co 3 dzień. Z początku w Rawiczu nie dostawaliśmy żadnych paczek ani nic, a później pozwalali raz w miesiącu paczkę (do 3 kg) dostać. Materace jeszcze poniemieckie były i w środku był papierowy popiół. Diabelnie na tym było zimno. No i jak taki kipisz robili, rozrzucą ten popiół z materaca to wszystko było w tym pyłe. I jak ktoś dostał paczkę i miał tam cukier, to mieszały mu ten cukier z popiołem, jak miał tytoń to cukru mu nasypali. Takie znęcanie się. Specjalnie to robili.

Jeśli chodzi i sprawy religijne. Niektórzy np. różaniec robili z chleba. Ja swój jeszcze z Białegostoku przywiozłem. Widziałem na własne oczy jak w czasie rewizji rwali go i śmiali się z tego. Dzicy ludzie.

Na tej ogólnej celi było zupełnie inne życie. Tu jakoś odżyłem, później jednak rozchorowałem się, ale w szpitalu nie byłem.

Któregoś razu, gdy w marcu 1953 r. wychodziliśmy na spacer i zauważyłem, że w będącym na przeciwko nas oddziale dla małoletnich leży gazeta. Zerknąłem i przeczytałem: Stan zdrowia Józefa Stalina. Aaa, dziadek chyba szykuje się na tamten świat - pomyślałem. Na drugi dzień wychodzimy na spacer. W celi po sąsiedzku siedział ten lotnik Skalski. Pokazał na opuszczoną na maszcie flagę i pyta się mnie:

- Co to jest słuchaj? Co ta flaga opuszczona?

- A pomyśl co to znaczy jak flaga opuszczona? To znaczy śmierć. Ktoś umarł. - podpowiadam mu.

- A może Stalin umarł?

- Chyba tak - odpowiedziałem - bo pisali coś w gazetach. - No, ale co to za rozmowa mogła być na spacerze. Wchodzimy na blok, patrzymy a strażnik ma w klapie czarny pasek i płacze. Śmieszne to jest. Czy to nim kierowało uczucie bóleści, czy co... .

Wówczas komendantem pawilonu był słynny Andrzej Kukawka zwany „Pomidorem”, bo czerwony był//. Niektórzy narzekali na niego, ja tam nie powiem... . W tym czasie już wszelki wigor, wszelka energia wypłynęła ze mnie i mnie było wszystko jedno. W tym czasie wynikły te sprawy rodzinne i to dobiło mnie do reszty.

Chyba jesienią 1953 r. zabrali nas na pawilon II-gi, czerwony. Wiedzieliśmy już że będzie transport. To był bardzo duży transport. W tym czasie nastąpiła już odwilż, bo było po śmierci Stalina. Oczywiście nie wiemy gdzie jedziemy, ale ja jako były kolejarz orientuję się. Gdy minęliśmy Poznań i Szamotuły zorientowałem się, że jedziemy do Wroniek.



Wyładowali nas na stacji i zastępca naczelnika Wronek uprzedził nas, że:

- Idziemy zwartą kolumną i żeby nikt na bok czasami nie odłąził, bo zostanie poczęstowany kulą, tym bardziej, że z wami idą psy.

W więzieniu we Wronkach znaleźliśmy się wieczorem. Rozpakowali nas po celach. Siedziałem na dole, gdzieś chyba niedaleko kotłowni, bo przez okno widziałem na dole, na pierwszym oddziale, hałdę węgla.

Wronki zbudowane są w kształcie krzyża. Skrzydła A, B, D, C albo odwrotnie, a po środku była jak ją nazywaliśmy: ambona, taka jakby wartownia. Siedział tam dyżurny przodownik i tam dzwonił taki. Jak na obiad wzywał to dzwonił tam, albo coś trzeba było, to wołał np.:

- Oddziałowy! Czwarta ce!

Jedzenie było takie jak zwykle - „normalne”. Zacząłem odczuwać trochę bóle żołądka i zgłosiłem się do lekarza. Powiedziałem, że w Rawiczu byłem na diecie. Okazało się, że tam lekarzem wojskowym był por. Sikora, kolega dr. Szymańskiego z Rawicza//. Oczywiście inny typ, bo Szymański zawsze śmiechnięty, gotowy był do łez a ten był trochę ponurowaty, ale też niezły lekarz. Zbadał mnie i przepisał dietę. Mimo to źle się poczułem i zabrali mnie do szpitala, w którym byłem około miesiąca. Stamtąd, jako nieuleczalnie chorego, przesłano mnie do pawilonu nr 3, gdzie byli tylko więźniowie nieuleczalnie w warunkach więziennych chore. Zdarzały się więc wypadki, że umierali. Tu chodziliśmy w piżamach. W dzień można było leżeć na łóżku itd., ale i to się przykszyło. Było mi wszystko jedno. Dożywotnie więzienie, trzy amnestie i żadna mnie nie objęła.

Tam byłem do 3-go czerwca, do wyjścia. W międzyczasie, na 6 miesięcy przed wyściem, przyszedł do mnie „spec” Nowicki (wcześniej był strażnikiem ale bardzo szybko awansował), nazywali go wychowawcą w więzieniu, ale to był taki „politruk”//. Nazywali go „Grunwald”, bo nosił odznakę „Grunwaldu”, widocznie na wojnie był. No i tak chodził, rozmawiał i kiedyś przychodzi do nas. Akurat leżeliśmy, i „Grunwald” opowiada jak to teraz warunki poprawiły się w więzieniu, to, tamto. Kino jest, więźniowie do kina chodzą.

- Panie kierowniku, a kto chodzi do kina? - spytałem.

- A co, nie byliście w kinie?

- Jak byłem 9 lat temu na wolności.

- Jeszcze dziś pójdziesz do kina - powiedział. Tam leżał też taki prof. Sochański, gdzieś w Pyskowicach mieszkał - „wujcio” zawsze nazywałem go (bardzo dobrze ze sobą żyliśmy, bo był zreumatyzowany a ja mu pomagałem, później zaprosił mnie do tych Pyskowic. Jeździłem do niego, to miałem podziękowania, bo jego żona, syn, córka mieszkali tam i opiekowali się nim) -

- To co, głupców z nas robi? - stwierdził profesor//. Długo jednak nie czekając przychodzi komendant pawilonu Prus - dość nienajgorszy człowiek - i mówi, żeby iść do przebieralni//. Zdjął ja tam piżamę, dali więzienne (w kolorze stalowym) ciuchy i gdzieś prowadzo nas kilku. Zaprowadzają nas do kina. No to te kino przewróciło mnie w głowie. Pamiętam do dzisiaj tytuł tego filmu: „Konik polny”. Ruski. Bardzo ciekawy film. Jak ja usłyszałem tą melodię, i to wszystko tak mnie „rozebrało” do reszty. Wtedy to już nie wiedziałem czy chce mi się żyć, bo przedtem to już mi nie chciało się żyć, czy nie. Pewnie tylko dlatego, że byłem wierzący, bo więzienie stworzyło ze mnie gorliwego katolika, to wytrzymałem. Gdyby nie to to popełniłbym samobójstwo. Rozstrzęsiony byłem całkowicie i więzieniem i sprawami osobistymi. Film spowodował jednak, że doszedłem do wniosku, że trzeba żyć, bo świat jest piękny.

Przyszedłem do celi a „wujcio” pyta się:

- A gdzie byłeś?

- W kinie byłem.

- Eee, co ty pleciesz? Niewiele rozumu miałeś przedtem a teraz wogóle straciłeś go.

- Na prawdę, mówię ci.

- Nie, nie żartuj, cały czas martwiłem się gdzie jesteś.

No, jakoś to przeszło, ale później znowu wpadłem w tako apatie. To był 1955 r. Myślę sobie: Tak, dożywotnie cholera. Nic tu nie widać, wcześniej to cieszyłem się nadzieją III wojny, innymi rzeczami a teraz to nic się nie dzieje. Mieliśmy prasę, to czytaliśmy o aresztowaniach jednej komendy WiN-u, drugiej komendy WiN-u, czwartej komendy WiN-u, potem wojna w Korei. No i przychodzi kiedyś taki z administracji i czytam mnie, że w drodze nadzwyczajnej rewizji Rada Państwa wystąpiła z wnioskiem, żeby art. 104 zamienili mi na 10 lat. No, to już co innego. Poprzednie amnestie zmniejszyły mi wyrok z innych artykułów do 12 lat, tylko ten 104 mi ciążył. No i tak zrobili - 104 zmniejszyli mi do 10 lat, i tam jeszcze miałem 12 lat. Jak jest określony wyrok, to można już czekać na koniec.

W początkach 1956 r. przyszedł komendant oddziału Prus i zaprowadził mnie na introligatornię. Aż do wyjścia pracowałem tam. Przenieśli mnie też na inną celę. To był już 10 rok mojej edukacji więziennej.

Tam [na introligatorni] mieliśmy ponad 3 tys. egzemplarzy książek, z tego cały szereg na „indeksie”. Można tam było czytać wszystko, ale ja już byłem zmęczony. Było nas tam 6-ciu, m.in. Bogdan Rudnicki - znany później dziennikarz//, który był całym tym odpowiedzialnym za naszą pracę. Ta praca była dla mnie rozrywką. Introligatorstwa uczyłem się w szkole powszechnej, ale nigdzie tego nie zgłaszałem. Mieliśmy oddzielną celę, wolno nam było światło palić do godziny 22, książki można było czytać jakie tylko się chciało. Ci co mniej lat siedzieli to sobie czytali. Pamiętam była taka jedna przedwojenna - „Czerwona dziewczica Kremla”. To o Dzierżyńskim. Czasami to sobie tak rozmawialiśmy:

- Co ty byś teraz zjadł? - pyta się Bogdan.

- Ja nic nie chcę, chcę zjeść tylko suchych kartofli. Może być skwareczek troszkę i jakimś tam koperkiem posypane. A ty co?

- Też tak samo, ale bardziej tłuszciej, tylko przedtem kielicha bym sobie zrobił.

- A ja bym piwa się napił jeszcze - powiedziałem, chociaż nigdy w życiu piwa nie piłem.

Chyba w kwietniu przychodzi amnestia. Wzywają mnie [do administracji] i mówią, że wszystkie wyroki po 2 lata już odpadają ale ten 10 lat ze 104 nadal pozostaje. Koniec wyroku upływał 3 czerwca. Tak, że byłem 10 lat i jeszcze 8 godzin. Na tej introligatorni tuż przed moim zwolnieniem dali do celi takiego esesmana. Nazywał się Silasko. Przedtem oczywiście nazywał się po prostu Żelazko. No i ten Bogdan mówi:

- To słuchaj, to ty chyba nazywałeś się Żelazko?

- Nie, Silasko. - To był taki typowy esesman. Co było dalej to nie wiem, bo z introligatorni zabrali mnie i noc przenocowałem oddzielnie. Oddali mój depozyt i zwolnili.

Dopiero wtedy opuściłem bramy więzienia. Wychodząc dostałem nowe ubranie, bieliznę, buty itd. Podpisałem jednak takie zobowiązanie, że przy otrzymaniu pierwszej pracy mam to spłacić. I tak też było. Wyjechałem pociągiem. Wszedłem na dworzec, ludzie się patrzą, ja z takim - pamiętam - worem. Na dworcu, zgodnie z więziennymi marzeniami, wypilem piwo. W głowie zakręciło mi się. Koło Szamotuł było jezioro, plaża, ludzie opalali się, ciepło bo to czerwiec, słychać śmiech a mnie jakoś tak nie bardzo. Jakiś dziwny świat, to nie mój świat.

Ponieważ zobowiązałem się temu Bogdanowi, że w Warszawie wpadnę do jego matki, to z tym worem zapycham po Warszawie. Znalazłem ten adres. Mieszkali na ulicy Barskiej. Matka bardzo się ucieszyła i tam mnie przenocowała. Na drugi dzień dotarłem do Białegostoku. Zaczęło się niby nowe życie. Nic nie rozumiem. Nie wiem co ile kosztuje. Miałem parę groszy zaoszczędzonych w więzieniu, bo tam przysyłała mi je siostra. W Białymstoku spotkałem Władka Tadsuka [?], był zawiadowcą stacji na stacji w Czarnej Wsi, a myśmy znali się dawniej, bo to jedna branża. No i podchodzimy do budki, coś kupujemy napić się, czy nie te piwo przypadkiem. Ja chcę płacić a on mówi:

- Ileż ty płacisz? To co ty płacisz, to przecież pięciokrotnie kosztuje. - No świat był dla mnie nie-

zrozumiały. Wszystko zmieniło się. Inna mentalność ludzka. Zdawało mi się, że jak wyjdę, to będę miał cały szereg przyjaciół. Wielu serdecznie mnie witało, ale byli i tacy, którzy ode mnie bokiem stawali.

No, gdzieś to trzeba iść szukać pracy jakiejś. Po amnestii dostaliśmy papiery takie, że lekarze wszystkich specjalności mają nas przyjmować, mają nas leczyć itd. Poszedłem szukać pracy na kolei w Białymstoku. Spotkałem tam swego kolegę Adasia Kozłowskiego. Jeszcze jeden kolega przechodził.

- Broniek! - krzyknął - nie znasz tego..., to Włodek.

- No skądś przypominam tego pana - burknął - ale nie wiem. - Popatrzyłem na niego, zrobiło mi się nieprzyjemnie i powiedziałem:

- Chyba taak. Pan mnie nie zna i ja pana nie znam. - Później, za parę dni przeproszał mnie:

- Tak wyrwało mi się - tłumaczył, no ale o czym mamy mówić. To takie drobnostki, ale wielu takich ludzi było, że dzięki mojej pomocy itd. coś tam mogli zrobić, ale okazało się, że wielu zapomniało o tym, poszli po innej linii, znaleźli się w partii.

W Białymstoku byłem niedługo. Potem pracowałem w Waliłach, gdzie musiałem zdać nowy egzamin. Przepisy kolejowe były już zupełnie inne. Stamtąd przenieśli mnie na zawiadowcę stacji aż do Białej k. Pisu. Ale tam długo mnie dali posiedzieć? Zaraz rozmawiać zaczęły się intrygi itd. Wtedy akurat była weryfikacja na kolei i kilku ludzi z mojej stacji zwolniono. Niedługo potem aresztowali mnie. Zarzucali mi, że sanacyjny porządek wprowadzam. A na czym polegał mój sanacyjny porządek? Otóż wymagałem od pracownika, by przychodził do pracy ogolony, czysty, żeby miał zapiętą koszulę, krawat. No to sędzia powiedział, że znaleźli się tacy, których prokuratura namówiła żeby tak mówili. To byli ci zwolnieni. Powiedział też:

- A jak zawiadowca przychodził do pracy? Zawiadowca przychodził zawsze w rękawiczkach, zawsze w czystej koszuli, to dlaczego nie braliście przykładu od niego. To nie jest żaden porządek sanacyjny, tylko zwykła przyzwoitość ludzka. - Odbyła się rozprawa i uniewinniono mnie, ale miesiąc czasu w Szczytnie przesiedziałem. Warunki tam wtedy już się zmieniły. To był zwykły areszt.

Jak pracowałem w Białej, to któregoś razu przyjechał z dyrekcji socjalny, dawny szef UB w Elku Szczawiński, który zbił mnie przy moim aresztowaniu w 1946 r. Takie to było nasze pierwsze spotkanie po latach.

Żona: Ja pracowałam wtedy z mężem jako kasjerka. Dyscyplinę chciał wprowadzać, to nie podobało się. Pijaństwo, złodziejstwo zwalczał.

„Mucha”: Mnie poinformowano na jaką stację idę, ale potem stamtąd wyjechałem i znalazłem się tutaj. Gdy byłem zawiadowcą stacji w Bolkowie to przyjechał jakiś gość do mnie. Wchodzę, a on mówi:

- Z zawiadowcą stacji chciałbym...

- Proszę bardzo - powiedziałem i zaprowadziłem go do siebie. No i on o tym, o tamtym zaczął rozmawiać.

- No dobrze, ale o co to chodzi, niech pan powie kim pan jest.

- Ja jestem jednym z tych co pana aresztowali. - Aaaa, a on z Jawora, z UB był. Zaraz potem pojechał.

Któregoś razu wezwali mnie do komitetu i mówią:

- Towarzyszu zawiadowco... - Ja jednak byłem złośliwy i przerwałem:

- Słowo towarzysz brzmi bardzo dumnie, ale ja - niestety - nie jestem jego godzien. - Oni oczywiście poznali się na moim naigrywaniu.

- Mamy wielki szacunek dla pana, bo wiemy, że na stacji dużo pan zrobił, zaprowadził porządek (bo stacja też była „zabagniona”), ale mamy do was pretensje. U was nie ma komórki partyjnej, u was nie ma ORMÓ na stacji.

- Po pierwsze: komórki partyjnej zakładać nie mogę, bo jestem bezpartyjny, ale jeżeli jakiś wasz pre-



legent, czy jak on tam się nazywa przyjedzie i zechce..., to ja mu pomogę. Natomiast jeśli chodzi o ORMO, to ja jestem ormowcem, bo przecież w kieszeni mandaty noszę (nawiasem mówiąc których nikomu nie dałem) i jak ktoś przechodzi przez tory to zawracam. Czepia się ktoś na pociąg to widzę tak samo.

- Aaa to do waszych obowiązków należy.

Tylko 3 lata byłem zawiadowcą, bo w końcu przyszły moje „papiery”. Do oddziału w Wałbrzychu wpłynęło pismo z komitetu, że nie chcą mnie widzieć na tym terenie. A wtedy ze zdaniem komitetu to się liczone.

Żona: Na szczęście był dobry naczelnik w Wałbrzychu i zabrał mnie do Wałbrzycha na szkoleniowca. I to się przyczepili jak może taki człowiek szkolić ich ludzi.

„Mucha”: Właśnie nieżyjący inż. Szczerbaty pomógł mi. Też był akowcem. Nie bardzo tak przed nimi portkami trząsał, a czasy powoli się zmieniały. I on najpierw zabrał mnie.

Naczelnik wezwał mnie i mówi:

- Słuchaj stary, ja tam tobie krzywdy nie chcę zrobić, ale przekaz tę stację. Ja tobie dam pracę tu w oddziale. Trochę powyjeżdżasz... . No i rzeczywiście dłuższy czas dojeżdżałem z Bolkowa do Wałbrzycha. Pociąg miałem o 5.15. Chyba z 6 lat dojeżdżałem. Później mieliśmy już mieszkanie spółdzielcze zapłacone. Kolej nam przyśpieszyła. Wtedy to było ciężko. Zarobki były nieduże, żona też mało zarabiała.

Potem przez kilka lat mieszkałem w Bolkowie a pracowałem w Barciszowie. Później stamtąd dojeżdżałem do oddziału w Wałbrzychu. Właśnie byłem tam tym kierownikiem szkolenia. Dostałem tam wyższą grupę uposażenia, ale jednak też stawiali rozmaite... . Był taki ubek w KW MO w Wałbrzychu. Miał taką gębę, że jak zobaczyć na ulicy po ciemku to żegnaj się ze wszystkim. To zawsze przychodził do Szczerbatego, że kogo on trzyma. Później nawet anonim napisali do dyrekcji, ale jakoś nic z tego nie wyszło. Inż. Szczerbaty powiedział, że nie jestem związany z jakimiś sprawami decyzji czy ze sprawami politycznymi i dali mi spokój. W 1980 r. przeszedłem na emeryturę. Emerytura była niewielka, ale jakoś trzeba było żyć, w międzyczasie przecież dwie córki uczyły się - studiowały. Jedna nie dostała się na prawo, bo wyciągnęli moją przeszłość. Powiedzieli, że prawnicy muszą mieć nieskazitelną przeszłość. Dziewczyna jednak zapałała się i skończyła zaocznie. Teraz kończy już aplikację. Druga z kolei skończyła resocjalizację. W Świebodzicach Śląskich mieszkamy już 20 lat.

W chwili aresztowania byłem żonaty. Żona mieszkała razem ze mną w Elku. Nie wiem czy pisała listy do rodziców, którzy mieszkali w Czarnej Wsi. Jakiś czas jeszcze pisała listy do mnie. W 1948 r. dostałem w więzieniu w Rawiczu, że ma być sprawa rozwodowa, a później, w 1949 r., otrzymałem zawiadomienie z sądu, że orzeczono rozwód. Po wyjściu z więzienia poszedłem do sądu zapytać jak wygląda moja sytuacja [rodzina]. Powiedziano mi, że żadne stosunki prawne nas nie łączą. Była tam sobie z kimś innym. Ja się starałem jeszcze pojednać się z nią, ale nie udało mi się. To już moja sprawa osobista. W żadnym wypadku nie jest możliwe, by to przez nią trafili do mnie. Pomimo wszystko uważam nadal, chociaż już nie nas nie łączy, za kobietę na miejscu.

. „Beczki”

. „P-8”

. ks. Saracen z Czarnej Wsi Kościelnej.

. Stasia „Zemsta”

. Sosnowski a miał ps. „Zygmunt”.

. Kowalskim

. Hilary Hryncyszyn

- . „Oracz”. Nazywał się Potyrała.
- . brat „Konrada”
- . Czarnym Blokiem jest kolonia. Mieszkała tam rodzina Kamińskich.
- . Roman Kamiński
- . szef urzędu w Ełku ppor. Szczawiński
- . śledczy-mordobijec, nazywał się Paweł Nalewajko z Gródka k. Walił.
- . drugi śledczy. Nazywał się Szostak
- . Stasio Jelski - czł. WiN w Ełku, uciekł UB.
- . oprawcy z UB B-stok: Kamiński, Szczawiński
- . Kociołkowskiego - za Niemców dyżurny ruchu na Fabrycznym [stacja: Białystok Fabryczny], potem WUBP.
- . Bobik, Babik? - ref. UB z Sokółki.
- . Roman Kamiński (ten mój współpracownik z Ełku, mieszkał na kol. Zawady nie Zawady?)
- . Rykow - doradca UB
- . Jan Zyskin - podporucznik UB B-stok
- . „Jurand”.
- . Pierzchała
- . Stasio Bniński - oficer zawodowy
- . Edek - konfident w więzieniu w B-stoku, prac. UB.
- . Sawicki, przodownik więzienia
- . szef administracji więziennej ppor. Janczewski (w późniejszym czasie został aresztowany i popełnił samobójstwo
- . Czesław Skwarek albo Skwarko z Goniądza - sk. na ks. Przeżył.
- . inż. Strumajer, Gienek Zalewski - akowiec z Białegostoku, oficer rezerwy.
- . Kazimierz Szymonowicz - naczelnik Rawicza
- . Majcher - strażnik w Rawiczu.
- . Pużak.
- . płk. Słomkiewiczem-Liniarskim
- . Kosiński z Warszawy.
- . ze wsi Burchaty spod Bielska Podlaskiego - Brzozowski.
- . Prus - był żandarmem w Łapach
- . Durczewski - lekarz w Rawiczu
- . por. Szymański.
- . (wojskowy) Plutecki, major Wiktorowicz - lekarze w szpitalu w Rawiczu.
- . Andrzej Kukawka zwany „Pomidorem”.
- . por. Sikora
- . „spec” Nowicki - „Grunwald”
- . prof. Sochański, gdzieś w Pyskowicach mieszkał
- . komendant pawilonu Prus
- . Bogdan Rudnicki - znany później dziennikarz.

opr. Jerzy Kutoń